cena 12 zł (w tym 8% VAT) 10/2019 (255)

HiFi i muzyka

PISMO AUDIOFILA I MELOMANA

Aretha Franklin

Testy:

Słuchawki
JBL Live 650BTNC

Odtwarzacz CD
Creek Evolution 100CD

Hi-end:

DeVore Fidelity Gibbon Super Nine
Elac Vela FS 407
McIntosh D1100/MCT500
Monitor Audio Platinum PL300 II
Ultrasone Jubilee Edition 25

Muzyka:

Ignacy Jan Paderewski
Phil Collins

Hi-Fi i Muzyka
Nr 10/2019 październik 2019
255
www.hfm.pl
Index 346217 ISSN 1234-2173
9 771234 217199 10

O podróżach w czasie można tylko pomarzyć. Jedni woleliby poznać przyszłość, inni cofnąć czas. Ja też niekiedy marzę o powrocie do przeszłości, i nie jest przypadkiem, że mam tak za każdym razem, kiedy testuję McIntosha.

Mariusz Malinowski

Retrospekcja

McIntosh D1100/MCT500

Amerykańska firma nie tylko pielęgnuje wzornictwo w stylu retro, ale też swoją filozofią brzmienia wyraźnie nawiązuje do czasów, kiedy królował dźwięk analogowy, a cyfrowego jeszcze nie było. Jako że jestem konserwatystą, z radością przyjąłem propozycję odsłuchu dzielonego źródła, które miało być nawet czymś więcej niż zwykłym odtwarzaczem. D1100 i MCT500 to, zgodnie z firmowym nazewnictwem, transport CD/ /SACD oraz… przedwzmacniacz cyfrowy.

Przedwzmacniacz cyfrowy

Oferta przedwzmacniaczy McIntosha jest bardzo bogata. W katalogu doliczymy się aż trzynastu urządzeń tego typu. Preampy można podzielić na kilka podkategorii: lampowe (pięć, w tym jeden dzielony), tranzystorowe (cztery), gramofonowe (dwa – jeden lampowy i jeden tranzystorowy) oraz dwa cyfrowe. D1100 jest referencyjnym modelem z ostatniej grupy.

Ale chwileczkę, przedwzmacniacz cyfrowy? Co to właściwie ma oznaczać? Sam początkowo byłem zdezorientowany. Ale wszystko zaczęło się wyjaśniać w czasie instalacji, a później – przy oględzinach wnętrza. Po pierwsze, wbrew oficjalnej nazwie, D1100 to bardziej DAC niż przedwzmacniacz. A jeszcze precyzyjniej – DAC z regulowanym poziomem sygnału wyjściowego. Teoretycznie to wszystko, ale – posługując się tą logiką – wiele innych przetworników można by również nazwać „przedwzmacniaczami cyfrowymi". Drugi argument tłumaczący oryginalne nazewnictwo wynika z faktu, że analogowy tor wyjściowy rozbudowano aż do trzech par gniazd. Zwykłe konwertery, nawet te z regulowanym wyjściem, nie miewają równie bogatego wyposażenia. No i trzecie wyjaśnienie – D1100 ma tyle cyfrowych wejść, że nazwanie go zwykłym przetwornikiem nie odzwierciedliłoby jego funkcjonalności. W praktyce mamy bowiem do czynienia z centrum zarządzania sygnałami cyfrowymi. Brzmi trochę niezręcznie? Zatem niech już zostanie ten „przedwzmacniacz cyfrowy".

Wzornictwa D1100 nie ma sensu opisywać. McIntosha rozpoznaje się na pierwszy rzut oka i bez cienia wątpliwości. Testowane urządzenie zostało wyposażone w dwa wskaźniki wychyłowe, poruszające się zgodnie z natężeniem sygnału na wyjściu. Dodatkowy wyświetlacz pokazuje procentowy poziom wysterowania oraz aktywne wejście. Do wyboru służy pokrętło z lewej. Za pomocą środkowych przycisków uruchamiamy żądane wyjście analogowe.

D1100 został też wyposażony w gniazdo słuchawkowe 6,35 mm, zasilane modułem nazwanym Headphone Crossfeed Director (HXD). To tryb odtwarzania symulujący efekty przestrzenne zbliżone do stereofonii generowanej przez kolumny.

Tylna ścianka wygląda bardzo bogato, choć nie ma na niej wejść analogowych. Są za to cyfrowe i to aż dziewięć: trzy koaksjalne (dwa RCA i jedno BNC), trzy optyczne, a także po jednym USB (typu B), AES/EBU oraz MCT. To ostatnie to autorskie rozwiązanie McIntosha, o którym więcej przy opisie transportu. Parametry USB (32 bity/384 kHz) nie odbiegają od spotykanych w tej klasie urządzeń.

D1100 oferuje również interesujący zestaw wyjść analogowych. Są trzy, ale każde zdublowane (XLR i RCA). Sygnał z dwóch jest regulowany, a z trzeciego stały. Gdy wykorzystamy wbudowany w D1100 przedwzmacniacz, użyjemy wyjść regulowanych, a kiedy sam DAC – stałego. W drugim przypadku producent zaleca zestawienie ze swoim referencyjnym dzielonym preampem lampowym C1100, ale to tylko jedna z opcji. D1100 można bowiem połączyć z dowolnym przedwzmacniaczem.

Obudowa to architektoniczny majstersztyk. Przez połowę wysokości urządzenia przechodzi wypolerowana na lustro płyta, wycięta z jednego bloczku aluminium. Jej finezyjne zagięcia tworzą coś w rodzaju wewnętrznej półskorupy, która zakrywa dół. W całej obudowie tylko dno wykonano ze stali.

W związku z taką konstrukcją, do obejrzenia elektroniki D1100 trzeba odkręcić

◀ **D1100**

▼ **Na wierzchu preampu schemat blokowy układu elektronicznego.**

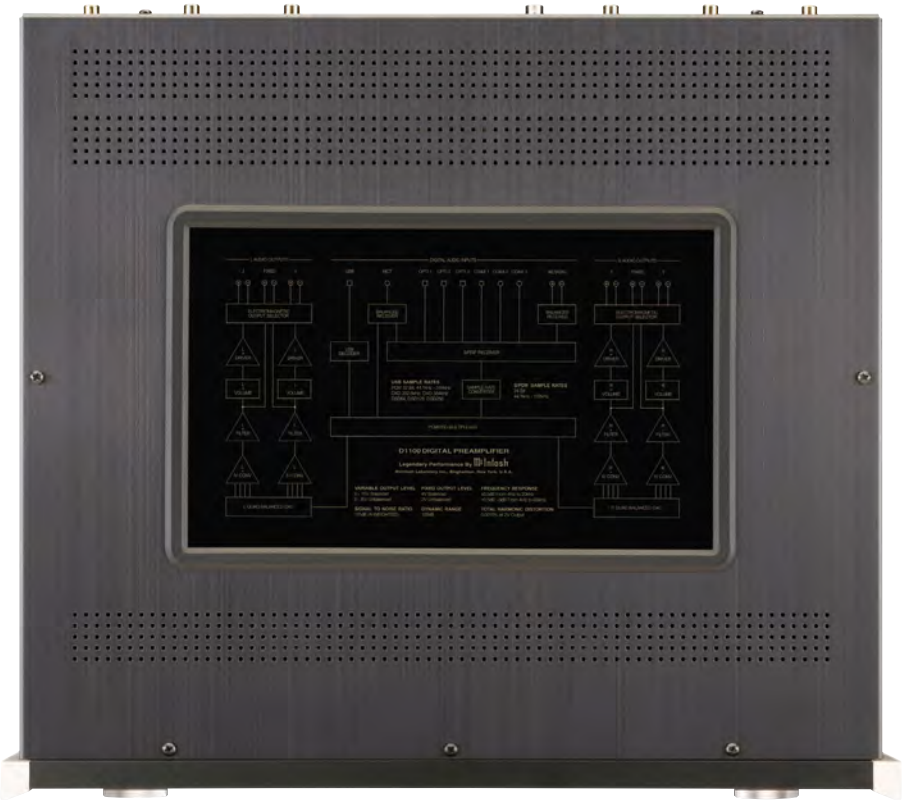

zarówno górę, jak i spód. Zacznijmy od góry. Znajdziemy tam jedną większą płytkę drukowaną, mieszczącą kość przetwornika oraz wyjściowe układy analogowe.

Sercem D1100 jest ES9018S kalifornijskiej firmy ESS Technology. Opisywałem go już szczegółowo przy okazji testu odtwarzacza Accuphase DP560 („HFiM" 10/2017). Przypomnijmy jedynie, że jest to układ 8-kanałowy, który w przetwornikach stereo wykorzystuje się do konwersji równoległych, sumowanych na wyjściu. W D1100 dwa kanały DAC-a przypadają na każdą połówkę sygnału – co tworzy tzw. układ poczwórnie zbalansowany (Quad Balanced).

D1100 został wyposażony w regulację głośności, opartą na dwóch układach Muses 72320 produkcji New Japan Radio. Z przodu widać jeszcze mniejsze płytki sterowania oraz mechanizmy wskaźników wychyłowych.

Po odwróceniu przedwzmacniacza do góry nogami i odkręceniu podłogi zobaczymy wejściową sekcję cyfrową oraz zasilacz. Na uwagę zasługuje rozdzielenie zasilania na dwa kanały. Każdy ma do dyspozycji oddzielny transformator. To trafa z rdzeniem R japońskiej firmy Kitamura Kiden. Jeszcze jeden, ale już mniejszy transformator (amerykański Prem Magnetics) odpowiada prawdopodobnie za realizację trybu standby. Ponadto w zasilaczu wykorzystano kondensatory Rubycona oraz cztery stabilizatory napięcia.

▲ **D1100 od góry.**

Reszta (bez transformatorów) znajduje się na jednej płytce, dzielonej zresztą z całym układem wejść cyfrowych. Głównymi elementami tej sekcji są odbiorniki Cirrus Logic 8416CSZ oraz upsampler tej samej wytwórni.

▼ **D1100 od dołu.**

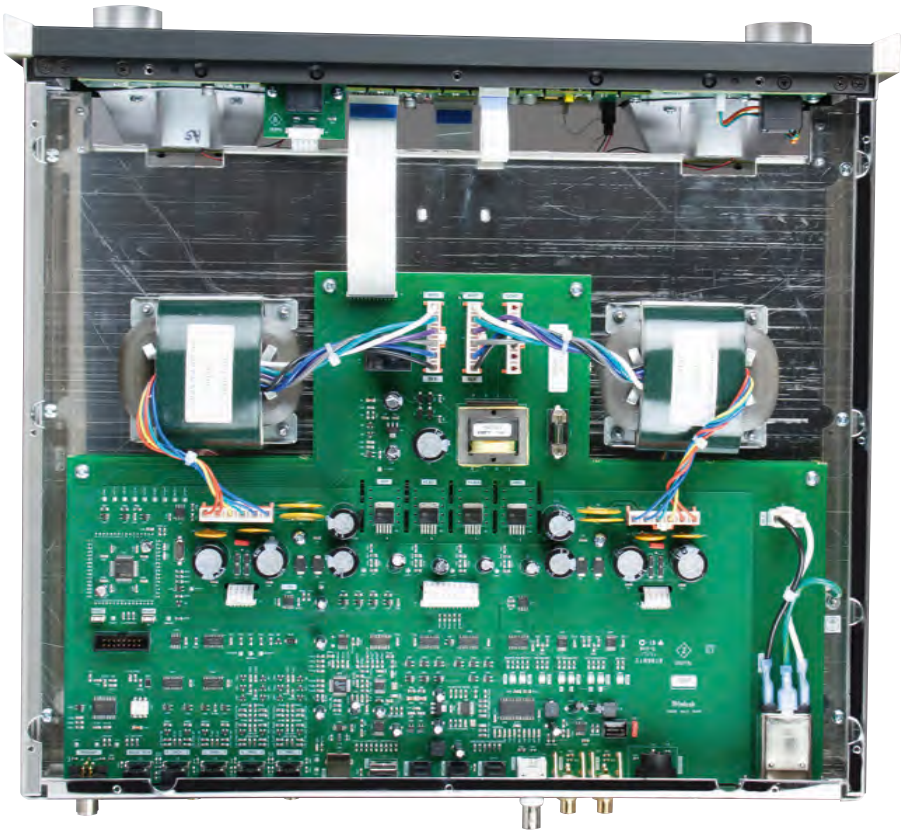

Transport CD/SACD

Jednym z przykładów konserwatywnej filozofii McIntosha jest oferta aż siedmiu urządzeń przystosowanych do odtwarzania płyt kompaktowych. Jedno to Blu-ray, trzy – klasyczne urządzenia zintegrowane, a kolejne trzy – same transporty. Dla porządku nadmieńmy, że każde czyta standard SACD. Statystyki mówią, że format CD zanika? Na pewno nie w Binghamton.

Projektanci McIntosha lubią, kiedy jest to możliwe, zachowywać symetrię. Nie inaczej jest w przypadku MCT500. Środkową część panelu przedniego zajmują szuflada transportu oraz wyświetlacz. Na prawo i lewo od wyświetlacza umieszczono po cztery przyciski do zwykłej obsługi, a dodatkowo – guziczki do zmiany warstwy płyty (w przypadku nośników hybrydowych) oraz źródła dźwięku (płyta/ /USB). Zwykłe gniazdo USB pozwala na wygodną obsługę odtwarzania muzyki z plików (we wszystkich chyba używanych obecnie formatach) – wystarczy włożyć nośnik pamięci, wcisnąć odpowiedni przycisk i wziąć do ręki pilot.

Z tyłu ulokowano cztery wyjścia cyfrowe. Nad optycznym, koaksjalnym i XLR nie ma się co rozwodzić – są spotykane powszechnie. Ciekawszym elementem jest

▲ **Poziom wysterowania 65 % – przy tym zdjęciu musiało być naprawdę głośno.**

▶ **Niespotykane bogactwo wejść i wyjść.**

▶ **Pilot przedwzmacniacza.**

MCT – odmiana połączenia DIN, tutaj w wersji kompatybilnej wyłącznie z urządzeniami McIntosha. Odpowiedni przewód znajduje się w wyposażeniu transportu. Warto go użyć, tym bardziej, że tylko tą drogą MCT500 wyśle do DAC-a sygnał SACD. Standard SACD nie zezwala na użycie do tego celu konwencjonalnych połączeń cyfrowych. Z jednej strony, ogranicza to trochę wybór DAC-ów; z drugiej – McIntosh oferuje aż 10 modeli, a użytkownik zyskuje gwarancję zachowania jednolitej filozofii brzmienia.

Komora wewnętrzna, podobnie jak w przypadku D1100, również została przepołowiona, ale już nie tak konsekwentnie. Nie dało się podzielić urządzenia całkowicie na górę i dół, ponieważ nie pozwala na to wysokość transportu. Wewnętrzna podłoga dzieli więc na pół nie całość, a tylko część wnętrza. I służy dodatkowo jako punkt zawieszenia napędu.

Po zdjęciu górnej pokrywy zobaczymy ekranowany mechanizm oraz dwie płytki drukowane. Większa mieści zasilacz, na który składają się niewielki transformator Würth Elektronik, dwa stabilizatory napięcia oraz kilka elektrolitów Rubycona. Obok znajduje się bufor wyjściowy sygnału cyfrowego, odprowadzanego do wyjść XLR i MCT, czym zarządza kontroler P89LPC954FA amerykańskiej firmy NXP. Tam też mamy sterownik do komunikacji systemowej z innymi urządzeniami McIntosha.

Ekran transportu kryje mechanizm DVD o trudnym do zidentyfikowania pochodzeniu. Od strony frontu, w oddzielnie ekranowanej komorze, umieszczono elementy elektroniki sterującej.

Oględziny od spodu nie dostarczają wielu informacji. Owszem, zobaczymy serwo transportu i dolną część jeszcze jednej płytki drukowanej. Na pewno ulokowano na niej bufor wyjść koaksjalnego i optycznego.

Zarówno transport, jak i przedwzmacniacz mają własne piloty.

Konfiguracja systemu

Dostarczone do testu urządzenia nie stanowią firmowego kompletu; można je zestawiać w różnych konfiguracjach. Bratniej duszy dla transportu należałoby zapewne szukać na zbliżonej półce cenowej, więc do dyspozycji pozostają modele C2600 (preamp lampowy), C52 (tranzystorowy) i recenzowany dziś D1100 (cyfrowy). Nie znam, co prawda, cen rynkowych nowości (C2600 i D53), ale jeśli docelowo mają zastąpić C2600 i C52, to powyższy bilans nie ulegnie zmianie.

Połączenie MCT500 i D1100 można potraktować jako dzielony odtwarzacz CD/SACD albo jako odtwarzacz z przedwzmacniaczem. Sprawdziłem obie konfiguracje. Nie będę jednak ukrywał, że przez większą część testu McIntosh był połączony bezpośrednio z tranzystorową końcówką mocy Conrada-Johnsona MF2250. Opcję z zewnętrznym preampem obsłużył BAT VK3iX SE. Dźwięk cały czas płynął z monitorów Dynaudio 1.3 mkII.

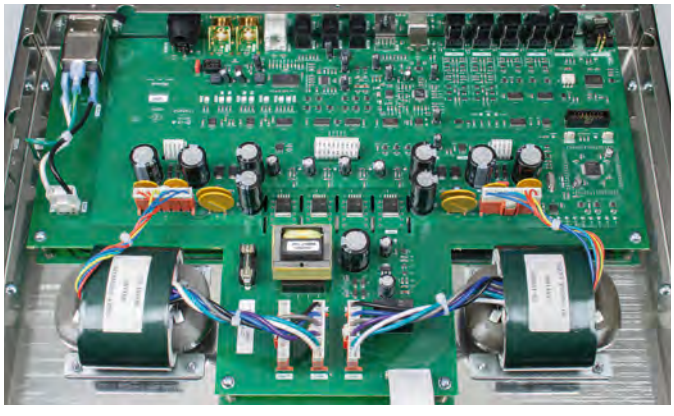

◀ **D1100 od dołu – widać całą elektronikę obsługi cyfrowego sygnału wejściowego oraz solidny zasilacz.**

▼ **Przetwornik c/a oraz cały stopień analogowy w D1100.**

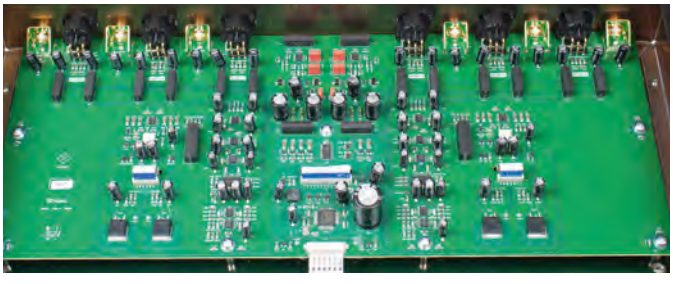

Wrażenia odsłuchowe

Na początku muzycznej przygody z McIntoshem zaskoczył mnie bas. Może dlatego, iż po źródle podświadomie spodziewałbym się raczej większego nacisku na analityczność, stereofonię czy górę pasma. Wygląda jednak na to, że konstruktor, zamiast tworzyć brzmienie według jakiegoś branżowego standardu, posłuchał głosu serca. To moje drugie spotkanie z McIntoshem w tym roku (wcześniej był odtwarzacz MCD600, „HFiM" 3/2019) i drugi raz mam to samo wrażenie. Że najbardziej chodzi o emocje, a nie o poszukiwanie mitycznej referencyjności. Amerykanie doskonale zdają sobie sprawę, że jeśli zdołają oddać esencję muzyki, to referencyjność już tam będzie. Przy odwrotnym podejściu sukces wcale nie jest pewny.

Tym wstępem nie chcę sugerować, że brzmienie McIntosha to głównie bas ani że jego muzykalność jest „niskotonowa". Dół pasma jest bowiem nie tyle dominującym, co po prostu najbardziej zaskakującym składnikiem dźwięku. O jakości podstawy harmonicznej decydują głównie kolumny oraz wzmacniacz (w takiej właśnie kolejności), ale raz jeszcze się okazuje, że i tak wszystko zaczyna się od źródła.

Bas McIntosha jest potężny – można mieć pewność, że amerykański komplet pozwoli pozostałym elementom toru zademonstrować najniższe herce, jakimi dysponują.

Paradoksalnie, ta głębia okazuje się bardzo szybka. Nie dochodzi do żadnego zlewania się podzakresów, a kontrola jest bardzo sprawna. Cały ten aspekt brzmienia aż się prosi, by go nazwać wielobarwnym. I rzeczywiście, „wielobarwność" to główne określenie, jakie powracało w moich notatkach w czasie całego odsłuchu McIntosha.

Idąc do średnicy, nie unikniemy wrażenia, że komplet MCT500/D1100 mocno się wpisuje w tradycję brzmienia zgodnego z tzw. wzorcem lampowym. Odnajdziemy tu nasycenie, wypełnienie konturów (przy ich dyskretnym zaokrągleniu) oraz konsekwentnie pielęgnowaną płynność. McIntosh potrafi w średnich tonach zawrzeć więcej emocji niż niejeden konkurent. Tym razem także ich nie zabrakło. Każdy repertuar, pod warunkiem przyzwoitej realizacji płyty, z łatwością wciągał słuchacza w przestrzeń, w której było tak dobrze, że nie chciało się jej opuszczać.

Górę pasma charakteryzuje bardzo dobra szczegółowość, utrzymana jednak w granicach naturalności. Soprany grają z wdziękiem, a nie z bezwzględnością. To oczywiście podejście, które nie wszystkim musi odpowiadać. Miłośnicy ekstremalnej analityczności swoje poszukiwania skierują raczej gdzie indziej. Przez chwilę miałem nawet ochotę napisać, że brzmienie McIntosha stanowi antytezę ostrości. Ale pozostawienie takiego zdania bez komentarza mogłoby zostać zrozumiane opacznie – jako sugestia, że urządzenia grają zbyt miękko. A to nieprawda. Owszem, zestaw ma w sobie specyficzną miękkość, ale nie narusza ona w żadnym stopniu ogólnego obrazu muzycznego. Przeciwnie, dopełnia muzykalność i z rysowanymi przez siebie dźwiękami tworzy symbiotyczną jedność.

Stereofonia została dopracowana perfekcyjnie. Scena jest bardzo szeroka, a dokładność lokalizacji pozostaje tak samo oczywista na bliskich, jak i dalekich planach. Lekko powiększony wokal wyraźnie wychodzi przed linię bazy. McIntosh to urządzenie dla osób przedkładających efekt wypełnienia pomieszczenia dźwiękiem nad jego napowietrzenie i ulotność.

▲ **MCT500**

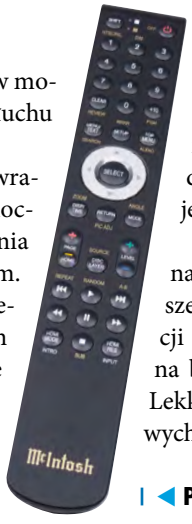

◀ **Pilot transportu.**

▲ **Gniazdo USB, wybór źródła dźwięku oraz warstwy odtwarzanej płyty.**

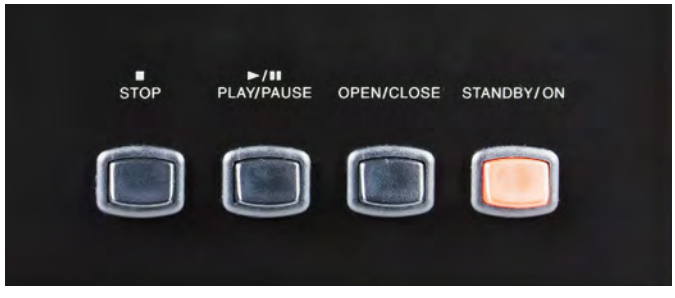

▲ **To przyciski dla osób, które nie lubią pilota.**

▼ **Oprócz typowych wyjść transport wyposażono w firmowe gniazdo MCT do przesyłania SACD.**

Na końcu nasuwa się nieuchronne pytanie o dynamikę. Przedstawiona charakterystyka nie zwiastuje w tej dziedzinie sensacji. Istotnie, sensacji nie było. Ale nie było też rozczarowania. McIntosh, co prawda, nie forsuje mikrodynamiki na siłę, bo sztuczne jej podkręcenie mogłoby zniweczyć pracę włożoną w dopracowanie kultury i muzykalności, ale w skali makro nie odpuszcza nawet na krok.

Z preampem

Jak wspominałem, amerykański komplet można połączyć z dodatkowym preampem, pomijając wbudowaną w D1100 regulację głośności. Kilka dni poświęciłem również na taki odsłuch.

Z D1100 podłączonym do preampu BAT-a nie odnotowałem żadnego olśnienia. Dźwięk był prawidłowy, zgodny z tym, co słyszałem już wcześniej. Cały czas odnosiłem jednak wrażenie, że umyka mi jakiś ulotny element. Wszystko się tutaj opiera na różnicy pomiędzy modułem preampu w McIntoshu a BAT-em. Nie ulega wątpliwości, że firmowa konfiguracja jest lepiej ze sobą spasowana. BAT do dźwięku o lampowym nalocie dodaje jeszcze prawdziwą lampowość własną. W niektórych nagraniach nadmiar takiego szczęścia mógłby się wydać przerysowany. Podwójnie pokolorowana średnica nie oznacza w tym przypadku pokolorowania dwa razy lepszego. Powiedziałbym raczej, że dwukrotnie wzrasta prawdopodobieństwo, że niektóre kolory mogą się rozjechać. Spieszę jednak donieść, że w mojej konfiguracji to nie nastąpiło. Poza tym być może powyższą różnicę nieco wyolbrzymiłem. BAT to świetny preamp, ale wiernie służy redakcyjnym celom od ponad 10 lat i każdą zmianę tego elementu toru na inny traktuję jak powiew nowości. Tak czy inaczej, obok pogłębienia barw średnicy, które nie musi, ale może przypaść do gustu, odnotowałem także lekkie dosłodzenie góry pasma i minimalnie większe rozmycie średnich i niższych partii basu.

▲ MCT500 od góry: widać obudowę transportu, płytkę zasilacza oraz cyfrowy bufor dla wyjść MCT i XLR.

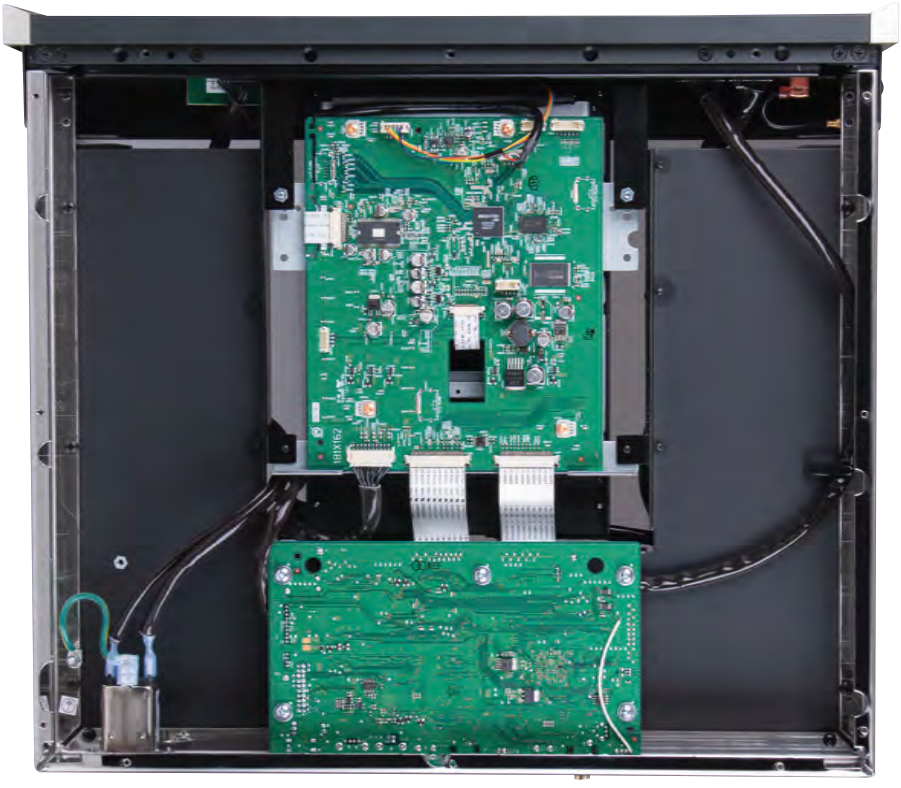

▼ MCT500 od dołu: elektronika transportu oraz cyfrowy bufor dla wyjść koaksjalnego i optycznego.

SACD

Mając do dyspozycji zestaw MCT500 i D1100, oprócz tradycyjnych płyt CD, można słuchać SACD oraz plików. Opcja SACD staje się obecnie coraz bardziej ekstrawagancka. Bo jeśli się mówi o zmierzchu zwykłych płyt kompaktowych, to co dopiero powiedzieć o Super Audio? Z drugiej strony, skoro ciągle mamy do dyspozycji taką możliwość, to dlaczego z niej nie skorzystać?

Brzmienie SACD w porównaniu z bardzo dobrze zrealizowanymi CD było lepsze, choć w stopniu tylko nieznacznym. Na pewno dźwięk zyskiwał na precyzji, a kontury średnicy z zaokrąglonych stawały się wyraźniejsze. Reszta aspektów pozostała na tym samym poziomie, a ewentualne różnice można by wyśledzić chyba tylko w bezpośrednich porównaniach tych samych nagrań. Ja unikam takich zawodów, bo upodabniają one słuchanie do jakiejś rutynowej czynności pomiarowej, której celem jest wydanie suchego werdyktu, gubiącego gdzieś po drodze magię samej muzyki.

Pliki

Na MCT500 i D1100 można też słuchać plików dostarczanych na dwa różne sposoby. Po pierwsze, do transportu podłączamy nośnik USB (i sterujemy nagraniami z pilota). Po drugie, wykorzystujemy komputer i przewodem USB przesyłamy sygnał do D1100. Teoretycznie to drugie rozwiązanie mogłoby być bardziej pożądane (między innymi dlatego, że skracamy znacząco ścieżkę sygnałową i eliminujemy dodatkowy kabel między transportem i preampem). Wiąże się ono jednak z koniecznością instalacji sterownika i odpowiedniej konfiguracji ścieżki sygnału w samym komputerze. Szczerze mówiąc, gdy tylko mogę, staram się tego unikać. Zwłaszcza odkąd zobaczyłem w jednym z bardzo drogich odtwarzaczy wewnętrzne połączenie modułu wejściowego z przetwornikiem za pomocą zwykłego kilkucentymetrowego kabelka z końcówkami USB, które niczym się nie różniły od wtyków dostępnych za kilka złotych w supermarkecie Auchan (nic nie ujmując firmie Auchan oczywiście). Kiedy więc mam taki wybór, to zdecydowanie stawiam na rozwiązanie typu plug and play, czyli włożenie własnego nośnika bezpośrednio do wejścia na froncie transportu. Szczególnie że takie połączenie już przećwiczyłem na urządzeniu tej samej firmy (wspomniany MCD600) i okazało się ono brzmieniowo bardzo ciekawe. Nie inaczej stało się w tym przypadku.

Brzmienie muzycznych plików nie popsuło analogowości źródła; także w basie trudno byłoby wskazać istotną różnicę. Muzykalność średnicy okazała się minimalnie słabsza, za to soprany zostały doświetlone. To wszystko jednak niewielkie zmiany, które dopiero razem składają się na nieco inny obraz brzmienia – pozbawiony wskazywanego wcześniej pierwiastka miękkości. Czy to lepiej, czy gorzej, zadecydują wyłącznie upodobania słuchacza. Mnie podobało się bardzo, zwłaszcza że w jednym aspekcie taka forma odsłuchu okazała się ciekawsza od muzyki z płyt. Chodzi o lepsze zróżnicowanie akustyczne. Każda realizacja została niejako wzbogacona pogłosem pomieszczenia, w którym łatwiej było lokalizować źródła pozorne w pionie. To znaczy, że dopiero przy odsłuchu plików słychać było jedne dźwięki wyraźnie niżej, a inne wyżej.

Podsumowując brzmienie zestawu McIntosha, należy podkreślić muzykalność, lekkie zmiękczenie, płynność oraz nasycenie wszystkich zakresów. Jest też potęga, ale bez cienia lenistwa. McIntosh nie należy zapewne do demonów prędkości, ale gra dokładnie w punkt – nie za szybko ani też nie za wolno. Dźwięk wydaje się bardzo naturalny, analogowy i przez to angażujący. Słuchacz odnosi wrażenie, że muzyka jest gęsta i oleista, a równocześnie czysta i świeża. Takie retro bez kurzu.

Konkluzja

Testowany komplet to niemały wydatek. Kiedy jednak w grę wchodzą emocje, rozum przestaje kalkulować. Dlatego na odsłuch lepiej idźcie bez portfela. Takie decyzje, nawet jeśli słuszne, lepiej przemyśleć na spokojnie.

▲ McIntosh MCT500 i D1100

McIntosh MCT500/D1100

Ceny:

D1100:	32900 zł
MCT500:	20800 zł

Dane techniczne:

Transport CD/SACD MCT500:

Wyjścia cyfrowe:	opt, koaks, XLR, MCT
Zdalne sterowanie:	+
Wymiary (w/s/g):	15,2/44,5/48,3 cm

Przedwzmacniacz cyfrowy D1100:

Rodzaj przetwornika:	32-bitowy
Pasmo przenoszenia:	4 Hz – 20 kHz
Zniekształcenia:	0,0015 %
Sygnał/szum:	111 dB
Wejścia cyfrowe:	AES/EBU, 3 x koaks, 3 x opt., USB, MCT
Wejścia analogowe:	brak
Wyjścia analogowe:	3 x RCA, 3 x XLR
Wyjścia cyfrowe:	-
Wyjście słuchawkowe:	6,35 mm
Wymiary (w/s/g):	15,2/44,5/48,3 cm

Ocena:

Brzmienie:	hi-end

▼ Łączówka MCT w wyposażeniu transportu.